



DODATEK SPECJALNY

Kwiatkowski *- tytan rozwoju II RP*

- Spod Zbaraża nad Bałtyk
- Azoty razy dwa, Gdynia i COP
- 1918 i 1989: inne kłopoty





100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Oficer Wojska Polskiego 1933 r.

Żołnierz Wojsk Obrony Terytorialnej



Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

SPRAWDZONE ROZWIĄZANIA DLA NOWOCZESNYCH SIŁ ZBROJNYCH



Eugeniusz Kwiatkowski (pierwszy z lewej) na V Zjeździe Związku Legionistów Polskich w Kielcach w 1926 r. FOT. NAC

SPIS TREŚCI

IV–XII MACIEJ ROSALAK **MOTOR ROZWOJU II RP**

Kardynał Karol Wojtyła powiedział nad jego trumną: „Logika życia tego człowieka wymaga, aby modlitwa za jego duszę popłynęła z wawelskiej katedry”.

X–XV **AZOTY, GDYNIA, COP**

Gdy Kwiatkowski zawiera nowy kontrakt, przewidujący sprawne finansowanie, efekty są zdumiewające. Gdynia staje się najnowocześniejszym portem na Bałtyku...

XVI–XIX **RÓŻNICA EPOK I KŁOPOTÓW**

Profesor Andrzej Chojnowski: W 1918 r. Polacy nie żywiłi obaw – jak w 1989 r. – że przystąpimy do jakiegoś eksperymentu, który jest wielką niewiadomą.

REDAKCJA:
Redaktor i autor tekstów: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **NAC**



Tytan rozwoju II RP



Maciej Rosalak

Spod Zbaraża nad Bałtyk – poprzez politechnikę, chemię przemysłową, stanowiska ministra i wicepremiera – wiodła droga tego wielkiego rodaka. Zostawił po sobie zakłady azotowe, port w Gdyni, COP...

Eugeniusz Kwiatkowski urodził się 30 grudnia 1888 r. w Krakowie, w rodzinie Jana Kwiatkowskiego i Wincentyny z Maszczyńskich. Ojciec, prawnik z wykształcenia, był wówczas urzędnikiem kolejowym, ale rychło został ziemianinem, odziedziczywszy majątek po bracie we

wschodniej części austriackiej Galicji i Lodomerii, która w II Rzeczypospolitej weszła w skład województwa tarnopolskiego. Eugeniusz miał troje rodzeństwa: starszego brata Romana i młodsze siostry Janinę oraz Zofię. Obydwie dożyły stu lat. Ojciec natomiast zmarł w 1903 r. i od tej pory edukacją

dzieci – w tym syna, który w przyszłości stał się tytanem rozwoju gospodarczego wolnej Polski – kierowała matka.

Dzisiaj o Eugeniuszu Kwiatkowskim mówi się niemal wyłącznie dobrze, używając określeń: „budowniczy Gdyni”, „twórca COP”, „odnowiciel Wybrzeża”. I słusznie. Często powtarzane powiedzenia z wolna zamieniają się jednak w banały; mimowolnie wycinamy jakieś kontury z gazety, tracąc z oczu postać w jej ludzkim wymiarze. Sam Kwiatkowski protestował zresztą przeciw „budowniczemu”, przypisując ten tytuł inżynierowi Tadeuszowi Wendzie, projektantowi portu gdyńskiego. Z kolei w latach 1949–1956 mówiono o „kwiatkowszczyźnie” jako zwyrod-



Rząd Kazimierza Bartła (szósty od prawej w pierwszym rządzie). Na lewo od niego stoją: prezydent Mościcki i marszałek Piłsudski. Między nimi widać w ostatnim rządzie głowę ministra Kwiatkowskiego. FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA



Od 1926 r. trwa szybki rozwój Gdyni. Port staje się największym i najnowocześniejszym nad Bałtykiem

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

niałej, „burżuazyjno-obszarniczej” myśli morskiej.

WYOBRAZAŁ SOBIE, ŻE JEST SKRZETUSKIM

Jeśli natomiast powstałby biograficzny film o Kwiatkowskim, to moglibyśmy powycinać poszczególne klatki i przyrzuć się przedziwnym obrazom. Oto 10-letni chłopiec wyobraża sobie, że jest Skrzetuskim, patrząc pod koniec XIX w. na mury Zbaraża, pod którym wychowywał się w majątku ojca. Niebawem zostaje zabrany z lwowskiego ck Gimnazjum im. Franciszka Józefa, gdzie czynił nader mierne postępy w nauce, i umieszczony w słynnej szkole ojców jezuitów w Chyrowie, którą w 1907 r. kończy z odznaczeniem.

W 1910 r. widzimy go studiującego chemię na Politechnice Lwowskiej, a następnie w monachijskiej Königl. Bayerische Technische Hochschule. Do Monachium przeniosła go matka, z niepokojem patrząca na entuzjazm, z jakim jej syn uczestniczył w działalności niepodległościowych organizacji młodzieżowych Zet i Zarzewie, a następnie Polskich Drużyn Strzeleckich. Chciała go ustrzec przed ryzykiem, jakie niósł udział w tych organizacjach. Na próżno.

W roku 1913 doszło do wydarzeń ważnych dla jego życia osobistego. Wrócił wtedy po studiach z Monachium i podjął praktyki kolejno w gazowniach miejskich Lwowa i Łodzi, a następnie otrzymał stanowisko wicedyrektora w prywatnej gazowni lubelskiej. Natomiast tuż przedtem, we wrześniu owego roku, ożenił się z Leokadią Glazer, z którą będzie miał syna Jana i córki Annę oraz Ewę.

Po wybuchu wojny poprzez Legion Wschodni trafił do Legionów. Sześć lat po rozpoczęciu studiów lwowskich poprowadził od kwietnia 1916 r. w Chełmie legionowe biuro werbunkowe... Po rozwiązaniu Legionów odnalazł się w Polskiej Organizacji Wojskowej.

W niepodległej Polsce pracował dla armii. Już podczas wojny z bolszewikami wykorzystywano zdobytą przez niego wiedzę, powołując go do sekcji chemicznej Głównego Urzędu Zaopatrzenia Armii przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. W 1921 r. wystąpił z wojska w stopniu porucznika i – w zgodzie z wykształceniem – szukał zatrudnienia w przemyśle chemicznym.

Wtedy zaprzyjaźnił się z wybitnym chemikiem Ignacym Mościckim i wspomógł go najpierw przy przejściu od Niemców, powtórny uruchomieniu i rozwoju Zakładów Azotowych w Chorzowie, a następnie przy budowie Azotów pod Tarnowem, które przejdą do historii jako Mościce. To właśnie współpraca z Mościckim zaowocowała największymi osiągnięciami Kwiatkowskiego w rozwoju przemysłu polskiego.

POZNAŁ SIĘ NA NIM MOŚCICKI

Poświęcimy temu zagadnieniu cały kolejny rozdział, ale tu zwróćmy uwagę na naprawdę imponujący wymiar pracy tych obu wielkich Polaków w Chorzowie. Najpierw Niemcy nie chcieli oddać Polsce wielkiej nowoczesnej fabryki, zbudowanej podczas I wojny światowej, która należała się nam na mocy układu po trzecim powstaniu śląskim. Próbowali oszukać Polaków bezprawnym przekazaniem zakładów azotowych w przy-



Wodne (oczywiście niemieckie) ręce. Potem wycofali stamtąd niemieckich inżynierów i techników (czyli wszystkich specjalistów), aby unieruchomić produkcję. Wreszcie organizowali dywersję, z niszczeniem maszyn i urządzeń łącznie. Polacy się jednak nie dali. Przeciwnie. Wygrali sprawę w sądzie, znaleźli odpowiednie kadry, a dywersję poskromili sami ślusarze robotnicy, gdy ujrzeli, że niszczone jest ich warsztat pracy. Mościcki zaś dzięki swym talentom, talentom organizacyjnym i wsparciu takich ludzi jak Kwiatkowski potrafił nie tylko utrzymać produkcję na poprzednim poziomie, lecz także ją zwiększyć.

Kiedy Mościcki został prezydentem, Kwiatkowskiemu powierzono resort przemysłu i handlu. Nowy minister został marazm na wielkiej budowie portu i miasta Gdyni. Jak wiemy, II Rzeczpospo-

doszliśmy do tego, że morze stało się obcym dla nas pojęciem”.

Jak najszybciej rozwiązał on istniejący kontrakt i zawarł nowy, przewidujący sprawne finansowanie i natychmiastowe zapłaty dla wykonawców, którzy w terminie i bez fuszerek będą wykonywać zamówione roboty. Na budowie pojawiły się renomowane firmy zagraniczne, prace nabrały coraz większego tempa, a efekty były zdumiewające. Oto w roku 1926 obroty wynosiły nieco ponad 400 tys. ton, a już w następnym zwiększyły się do prawie 2 mln ton. W 1929 r. przeładowano niemal 3 mln ton, przewyższając tym samym przedwojenne obroty portu gdańskiego, gdzie w roku 1912 przeładowano niespełna 2,5 mln ton towarów. Owa dynamika rozwojowa utrzymywała się i w 1935 r. zdolności przeładunkowe gdyńskiego portu osiągnęły 10 mln ton rocznie, cztery razy więcej niż planowano, gdy kilkanaście lat wcześniej zaczęto jego budowę. Port w Gdyni stał się największym na Bałtyku i najnowocześniejszym w całej ówczesnej Europie.

W 1929 r. minister Kwiatkowski zaakceptował wniosek prezydenta Poznania Cyryla Ratajskiego o zorganizowanie w tym mieście pierwszej Powszechnej Wystawy Krajowej, na której miały być zaprezentowane

gospodarcze osiągnięcia niepodległej Polski w ciągu 10 lat jej istnienia. Zarówno wystawa, jak i państwo polskie odniosły ogromny sukces. Od połowy maja do końca września odwiedziło ją ponad 4,5 mln osób, w tym 200 tys. gości z zagranicy. Prasa całego świata oceniła ją nadspodziewanie wysoko. Na przykład brytyjski „Daily Mail” napisał, że „świadczy wymownie, co uzyskali Polacy usilną pracą i oszczędnością. Polacy pokazali na tej wystawie, że nie ma przedmiotu, którego by sami sfabrykować nie mogli. Ten naród jest tak przemyślny, że potrafi zrobić wszystko, czego zapagnie”.

Natomiast 13 lipca 1930 r., podczas uroczystości podniesienia bandery na żaglowcu szkolnym „Dar Pomorza”, w księdze pamiątkowej napisano: „Polska bez własnego wybrzeża morskiego i bez

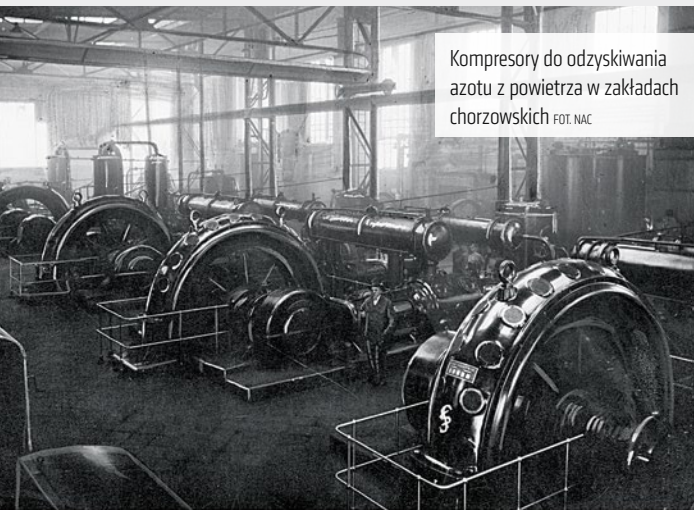
własnej floty nie będzie nigdy ani zjednoczona, ani nieodległa, ani samodzielna gospodarczo i politycznie, ani szanowana w wielkiej rodzinie państw i narodów, ani zdolna do zabezpieczenia warunków bytu pracy, postępu i dobrobytu swym obywatelom. Dziś można powiedzieć, że społeczeństwo spłaca dług historyczny na wybrzeżu [...]. Musimy sobie powiedzieć – z tym wybrzeżem wiąże się życie Polski, a bez niego śmierć Polski. Przez całą Polskę musi pójść zrozumienie, że tu ukochane córki bawiły się w Belwedere z córkami ministra i tu się kończy”.

W pierwszej połowie lat 30. Kwiatkowski wycofał się z życia politycznego, a raczej „został wycofany”, gdyż nie mógł pogodzić się z formami walki z opozycją polityczną. Część czołowych polityków sanacyjnych, z Walerym Sławkiem na czele, miała mu to za złe. Z kolei marszałek Piłsudski miał doń zastrzeżenia, nie do końca mu ufał, ale lubił, gdy jego ukochane córki bawiły się w Belwedere z córkami ministra. Po ustąpieniu z rządu Kwiatkowski zajął się jednak nie tylko teoretycznymi pracami z zakresu ekonomii, lecz także pracą w kolejnych wielkich zakładach azotowych, tym razem zbudowanych przez Polaków od fundamentów – Mościcach.

Zaczął nimi kierować na początku lat 30., w warunkach wszechświatowego kryzysu ekonomicznego, który szczególnie mocno dotknął m.in. Polski. Jednak ciężka praca i utrzymywanie produkcji dzięki koniecznemu ograniczeniu godzin pracy i obniżeniu cen produktów pozwoliły ocalić fabrykę w Mościcach i dawać utrzymanie zatrudnionym w niej ludziom. Przyniosło to po kilku latach znakomite efekty. Zakłady pod Tarnowem zaczęły przynosić czysty zysk w wysokości ponad 5 mln zł rocznie, a zatrudnienie przekroczyło liczbę 3 tys. osób. Połączone wkrótce z zakładami chorzowskimi, przynosiły zyski niemal dwukrotnie wyższe, zaspokajały krajowy popyt na nawozy sztuczne, a eksport z nich kierowano do 60 krajów.

STOJĄC U DROGOWSKAZU...

W 1935 r., po śmierci Piłsudskiego, Kwiatkowski otrzymał nominację na wicepremiera i ministra skarbu. W dużej mierze znowu zawdzięczał ją prezydentowi Ignacemu Mościckiemu, znakomitemu teoretykowi – ale i praktykowi! – w dziedzinie zastosowań chemii w przemyśle, potrafiącemu docenić ogromny potencjał



Kompresory do odzyskiwania azotu z powietrza w zakładach chorzowskich. FOT. NAC

lita odzyskała dostęp do morza w wyniku traktatu wersalskiego, ale rozstrzygnięcie w sprawie Gdańska, uczynionego „Wolnym Miastem”, nie pozwoliło na jego wykorzystanie zgodnie z interesami polskimi. Decyzja w sprawie budowy Gdyni zapadła wprawdzie w 1922 r., ale w ciągu następnych czterech lat wadliwe umowy z francuskimi wykonawcami powodowały stopniowe zamieranie prac. I oto po przewrocie majowym nowym ministrem przemysłu został człowiek, który trafnie i z goryczą pisał: „Morze dla Polski to jedno z najpoważniejszych i najdonioślejszych zagadnień historycznych. Ku niemu Polska szła wieki całe, a im bliżej się z nim wiązała i żyła, tym bardziej wzrastała jej siła wewnętrzna i znaczenie zewnętrzne. W XVII wieku utraciliśmy kontakt z morzem i wreszcie



Czerwiec 1939 r. Uroczystość poświęcenia Zakładów Południowych w Stalowej Woli. Na pierwszym planie w ostatnim rzędzie – wicepremier Kwiatkowski FOT. NAC

drzemiący w czterdziestokilkuletnim wstędy ekonomiści, inżynierze i wizjonerze zarazem.

Przypomnijmy jego słowa: „W tym bowiem miejscu Europy, gdzie leży Polska, istnieć może tylko państwo silne, rządne, świadome swych trudności i swego celu, wolne, rozwijające bujnie indywidualne wartości każdego człowieka, a więc demokratyczne, zwarte i zorganizowane, solidarne i silne wewnątrz, budzące szacunek na zewnątrz, przeniknięte walorami kultury i cywilizacji, państwo nowoczesne, zachodnie, mnożące w wyścigu pracy własne wartości materialne i moralne. Czy możemy wahać się, stojąc u drogowskazu, gdzie pójść?”

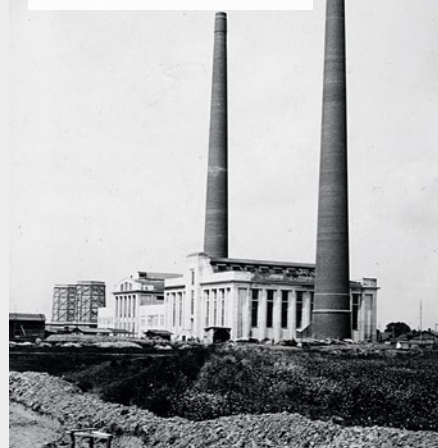
Nowy premier wsparł z całą mocą rozwój krajowego przemysłu, wprowadzając w lipcu 1936 r. czteroletni plan inwestycyjny, w którym na uprzemysłowienie przewidziano niespotykane wcześniej sumy – do 1,8 mld zł. Historycznego wymiaru nabrało jego przemówienie z 5 lutego 1937 r. na posiedzeniu Komisji Budżetowej Sejmu, gdzie przedstawił i przeforsował projekt budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego w widłach Wisły i Sanu. Głównym celem tego przedsięwzięcia był wzrost potencjału zbrojeniowego Polski, koniecznego w kraju położonym między dwiema wrogimi totalitarnymi potęgami Niemiec i Sowietów. Projekt nie był nowy – już w 1921 r. wysunął go ówczesny minister spraw wojskowych gen. Kazimierz

Sosnkowski, potem opracowali go bracia Paweł i Władysław Kosieradzcy – ale dopiero za czasów Kwiatkowskiego doczekał się dynamicznej realizacji.

Kiedy Niemcy i Sowietci napadli na Polskę, gotowe lub w budowie były elektrownie wodne, huta i miasto Stalowa Wola, fabryki maszyn, broni i amunicji, samolotów (w osobnym rozdziale opiszemy to bardziej szczegółowo). Niemcy, tak chętnie operujący pogardliwym określeniem „polnische wirtschaft”, nader chętnie korzystali z urządzeń COP, rozbudowując niektóre niedokończone zakłady przemysłowe i rozwijając na przykład produkcję doskonałych pistoletów marki ViS...

Kwiatkowski uszedł z kraju wraz z całym rządem. We wrześniu 1939 r.

Azoty pod Tarnowem. Elektrownia z kominami o wysokości 114 metrów FOT. NAC



dopilnował wywozu polskiego złota, a na stacji w rumuńskich Czerniowcach oddał ostatnie 20 dol. również pozbawionemu pieniędzy „Śmigłemu”. Władysław Sikorski nie zgodził się na jego przyjazd do Francji, obarczając go współodpowiedzialnością... za klęskę wrześniową.

NA SWOIM MIEJSCU, CZYLI W POLSCE

Lipiec 1945 r. Bierut wysłał Borejszę do sanacyjnego męża stanu, przebywającego nadal w Rumunii: „Potrzebujemy Pana. Wybrzeże, morze, Gdynia czekają na zagospodarowanie. Pańska wiedza, doświadczenie i uczciwość są dla nas dostateczną rekomendacją”. Delegat Rządu do spraw Wybrzeża może w miarę skutecznie działać trzy lata. Zima 1947 r. – poseł Kwiatkowski (jednak zezwolono, by nim został) nie zostaje dopuszczony do głosu; i tak przez całą kadencję. W latach 50. zmuszono go do przejścia na głodową emeryturę, z zakazem zamieszkania i wykładania we wszystkich miastach pomorskich, w Poznaniu i Warszawie. Pomaga mu trochę Osóbka-Morawski; nie pomaga przedwojenny współpracownik Minc. Wraca do rodzinnego Krakowa.

Za Gomułki było różnie. Kiedy od czasu do czasu ukazywały się wywiady z Eugeniuszem Kwiatkowskim, niektórzy dziwili się, że jeszcze żyje. Należne splendory przywrócono dopiero staremu, schorowanemu człowiekowi, za Gierka



Msza święta polowa podczas kieleckiego zjazdu legionistów w 1926 r. Minister Kwiatkowski siedzi na końcu rzędu. FOT. NAC



Słynne przemówienie wicepremiera Kwiatkowskiego podczas posiedzenia Sejmowej Komisji Budżetowej w 1937 r. FOT. NAC

■ chwalonemu przezeń za budowę Portu Północnego. Kiedy umarł (22 sierpnia 1974), premier Jaroszewicz zamieścił w „Trybunie Ludu” nekrolog: „Zasłużony dla rozwoju gospodarki morskiej i kraju; wybitny działacz gospodarczy. Odznaczony przez władzę ludową Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami państwowymi”.

Powrót do kraju w 1945 r. i komandoria PRL nie przysporzyły mu przyjaciół wśród emigracji na Zachodzie. Sądono, że ze względów oportunistycznych legitymizuje komunistyczną władzę. A on po prostu nie widział się w innej roli niż organizatora przemysłu, uczonego, wykładowcy, ale na swoim miejscu, czyli w Polsce. Kiedy go zapytano, jak sobie wyobraża raj, odparł, że dla niego jest to gabinet z dużym biurkiem

i niezbędnymi książkami. Przemęczenie? Jak można nie wykonać tego, co jest do wykonania? Marian Marek Drozdowski przytacza w biografii „Eugeniusz Kwiatkowski. Człowiek i dzieło” opinię córki Ewy z Kwiatkowskich Obrąpalskiej: „Racjonalista, pragmatyk, z wyboru i usposobienia uważał, że jeżeli można cokolwiek pożytecznego zrobić, to należy to zrobić bez oglądania się na osobiste emocje”.

Podobno bywał porywczy, co przy jego obowiązkach można zrozumieć, a nawet niesprawiedliwy wobec podwładnych – co zrozumiałe trudniej. Zarzuka mu się też stworzenie już w latach 30. „propagandy sukcesu”. Zlecał kręcenie filmów o śląskim węglu, o Gdyni i rodzącej się flocie handlowej, o Centralnym Okręgu Przemysłowym. Urządzał tam wyjazdy reporterów, którzy

następnie wynosili wicepremiera pod niebiosa, w czym celował Melchior Wańkowicz. Przecież jednak zachodzi podstawowa różnica między propagandą Szczepańskiego, który wielbił zabójczy dla Polski manewr I sekretarza KC PZPR z lat 70., a dodawaniem sił i animuszu narodowi, który wznosił w dwudziestolecie międzywojennym dzieła wielkie, bo celowe.

MODLITWA Z WAWELSKIEJ KATEDRY

Przetwórstwo chemiczne węgla rzeczywiście się opłacało, port gdyński był przez długie lata najnowocześniejszym na Bałtyku, a fabryki Mielca, Stalowej Woli, Rzeszowa i innych miast wytwarzały wyroby naprawdę potrzebne. Produkcją zresztą nadal, po tylu latach. Energię dostarczały im specjalnie zbudowane elektrownie wodne. Dlatego wicepremier mógł w 1938 r. z dumą mówić w Sejmie: „Hasło budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, które przed dwoma laty mogło wydawać się nierealnym mirażem, dziś stało się konkretną rzeczywistością... Zostały założone wstępne, ale fundamentalne urządzenia energetyczne i przemysłowe w wielkim stylu...”. W ciągu ćwierćwiecza po 1989 r. słyszeliśmy – zwykle przed wyborami – co to się po wyborach zrobi, ale z realizacją planów było już znacznie gorzej. Do nie zawsze wesołych refleksji składają lata III Rzeczypospolitej i niektóre występujące w niej od początku figury.

W II RP budowano w Polsce szybko, sprawnie i ze znakomitym efektem. Na przykład kolejkę linową na Kasprowy Wierch (sprzedaną za rządów PO-PSL!)

wzniesli w pół roku – od jesieni do końca zimy – młodzi polscy technicy z pomocą górali. Gdynia i COP, a także pamięć wygranej wojny z bolszewikami scalały naród, napawały wiarą we własne siły, pozwalały z nadzieją patrzeć w przyszłość. Eugeniusz Kwiatkowski, tak jak wcześniej Władysław Grabski, stał się tytanem wspaniałej pracy w tej dziedzinie państwowych przedsięwzięć, na jakiej Polacy rzekomo się nie znali. Stanęli przed wyzwaniem dobrego wykorzystania owej wolności i niepodległości, o której marzyły pokolenia, a której ich pokolenie doczekało. I wyzwaniu sprościli.

To, jak wielkim darem była dla, wydałoby się, technokraty owa odzyskana rzecz pospolita, widać po tym, jak wspominał zaślubiny z Bałtykiem przyszły budowniczy Gdyni: „W bezbarwny, mglisty, deszczowy dzień 10 lutego 1920 r. szły sztandary Rzeczypospolitej od Pucka ku wybrzeżom zimnym i stalowym – witać Morze Polskie, szły wojska polskie szare i błękitne, piesze i konne, przesycone radością i śpiewem, niecierpliwie widoku morza, tej granicy państwa, która niczego nie odgranicza, niczego nie dzieli, nie oddala, nie łamie, lecz wszystko łączy i zbliża”.

Po przeczytaniu takich słów warto choćby chwilę poświęcić na zadumę nad całym pracowitym życiem naszego wielkiego rodaka. Zmarł 22 sierpnia 1974 r. w rodzinnym Krakowie i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim. Arcybiskup krakowski, kard. Karol Wojtyła, powiedział nad jego trumną: „Logika życia tego człowieka wymaga, aby modlitwa za jego duszę popłynęła z wawelskiej katedry”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Codziennie i z uporem

W exposé premiera Mateusza Morawieckiego, wygłoszonym w Sejmie 12 grudnia 2017 r., słowo „Polska” zostało wypowiedziane 147 razy, a słowo „gospodarka” – 40 razy. Komentatorzy uznali to za jeden z przejawów patriotyzmu gospodarczego nowego szefa gabinetu. Przypomina się zdanie: „Polska musi własnym wysiłkiem tworzyć i budować codziennie i z uporem, ze świadomością celu własną nowoczesną organizację polityczną i gospodarczą, zdolną do życia, do rozwoju i do wytrzymania wszystkich ciśnień zewnętrznych i wewnętrznych”. To jednak nie jest kolejny cytat z Morawieckiego. To zdanie wypowiedział także w Sejmie, ale 80 lat wcześniej – 5 lutego 1937 r. – wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski podczas obrad komisji budżetowej, gdy uzasadniał zwiększenie nakładów na inwestycje Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Na podobieństwo koncepcji oraz poczynań Kwiatkowskiego i Morawieckiego zwraca się uwagę od czasu, gdy ten ostatni został wicepremierem koordynującym działania całego pionu finansowo-wytwórczego. Łączy ich dążenie do rozwoju rodzimego przemysłu, stosowanie metod interwencjonizmu państwowego, głębokie poczucie związku między znaczeniem Polski a jej potencjałem gospodarczym, a także osobista uczciwość i pracowitość. Nie od rzeczy będzie też przypomnieć, że obydwaj w młodości garnęli się do patriotycznych czynów – jeden w Legionach i w POW, drugi w szeregach Solidarności Walczącej.

Może owe podobieństwa będą sprzyjać zainteresowaniu tym dodatkiem poświęconym Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu, może nie. Zwróciłem tu na nie uwagę, gdyż chyba pomagają zrozumieć motywy przedsięwzięć człowieka, którego śmiało można uznać za jednego z rodaków najbardziej zasłużonych dla ojczyzny w okresie międzywojennym. I to na polu często w naszych dziejach zaniedbywanym – gospodarczym. Tymczasem w II Rzeczypospolitej i na tym polu dokazano niemało, a prawdziwym tytanem, motorem najbardziej spektakularnych sukcesów – budowy Azotów, Gdyni i COP-u – okazał się właśnie Kwiatkowski.

Nie tylko jednak tych trzech. W 1929 r., z inicjatywy prezydenta Poznania Cyryla Ratajskiego – którego zasłużenie się za to chwali – otwarto w tym mieście pierwszą Powszechną Wystawę Krajową. Oto jak wspominał to wielkie dzieło dyrektor PWK Stanisław Wachowiak: „Kiedy wszystko z taką glorią udało się, słusznie mógł ówczesny minister [przemysłu i handlu – przyp. M.R.] Eugeniusz Kwiatkowski, największy wówczas »motor« w często zmieniających się rządach, wygłosić swoje piękne przemówienie o »prawie zwycięstwa«. Był to także i jego triumf, bowiem nieliczni tylko wiedzieli, ile homeryckich bojów stoczył w Radzie Ministrów, aby postawić na swoim. Premierowie się zmieniali, on był wówczas jedyną trwałą pozycją w gabinetach”.

Warto o nim pamiętać, szczególnie w stulecie odrodzenia Polski. © ©



MS „Piłsudski” w Nowym Jorku FOT. NAC



Maciej Rosalak

„Geheimrath Doctor Caro przeoczył, że w te cudowne dni Polski dla wszystkich Polaków był jeden temat: powstać na nowo”

Fabryki azotowe w

Na ten »temat« karabinem miast piórem pisały wypracowanie Ojczyźnie Orleńta Lwowskie, mając koło siebie w okopach swoich profesorów, na ten temat ministrowie pierwszego rządu lubelskiego z kubelkami kleju po mieście własnoręcznie rozklejali manifesty, na ten temat składów poniemieckich przy rozbrajaniu pilnowali z karabinem w ręku oficerowie jako sztyldwachy...”

Przytoczony wyżej cytat ze „Sztafety” Melchiora Wańkowicza dotyczy zarzutu chemika niemieckiego dr. Caro przeciwko prof. Mościckiemu, że w chorzowskich Zakładach Azotowych pracuje na „cudzych tematach”. Zakłady te w 1916 r. nosiły nazwę Oberschlesische Stickstoffwerke. Zostały wzniesione podczas wojny przez rząd niemiecki do spółki z Bayerische Stickstoffwerke, aby produkować nawozy i materiały wybuchowe pionierską metodą „z powietrza, wody i węgla”. Stanowiły drugą na świecie fabrykę azotniaku, która wytwarzała 120 tys. ton nawozów rocznie. Po wojnie, na podstawie art. 256 traktatu wersalskiego, należała się ona państwu polskiemu, ale rząd niemiecki nie mógł się z tym pogodzić i w końcu 1919 r. bezprawnie sprzedał zakłady o strategicznym znaczeniu fikcyjnej spółce do tego tylko celu powołanej. Sprawą wyceny zajmował się Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze, ale już 14 lipca 1920 r.

polski sąd przyznał przedsiębiorstwo Skarbowi Państwa, dokładnie dwa lata później zostało ono oficjalnie przejęte przez nasz rząd, a prezydent RP Stanisław Wojciechowski rozporządzeniem z czerwca 1924 r. nadał mu osobowość prawną i status spółki z o.o. pod nazwą Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Chorzowie.

Fabrykę powierzono prof. Ignacemu Mościckiemu – uznanemu w świecie uczonemu i posiadaczowi licznych patentów w dziedzinie chemii przemysłowej – który już od 1921 r. zaczął kompletować zespół naukowo-techniczny spośród młodych chemików, często swoich uczniów z Politechniki Lwowskiej. Wtedy też zbiegły się drogi dwóch wielkich Polaków: profesora (od czerwca 1926 r. prezydenta RP) oraz Eugeniusza Kwiatkowskiego. Mościcki wyróżnił go stanowiskiem dyrektora technicznego i nie zawiódł się na nim. A musieli borykać się z ogromnymi trudnościami, spiętrzonymi przez zawistnego niemieckiego dyrektora naczelnego Schicka, który odchodząc ze stanowiska, zabrał całą dokumentację technologii produkcji oraz swych wszystkich rodaków będących inżynierami i Technikami. Ku wielkiemu zaskoczeniu Niemców Polacy szybko uporali się z tymi przeszkodami.

Mościcki pisał w swej „Autobiografii”: „Po paru miesiącach doświadczeń doprowadziliśmy wydajność do niemieckiego

poziomu. Nie poprzestaliśmy jednak na tym; prace doświadczone szły w dalszym ciągu z powodzeniem. W stosunkowo niedługim czasie udoskonaliśmy znacznie metodę niemiecką. Od tej chwili Niemiec nie imponował już więcej robotnikom chorzowskim... Zakłady chorzowskie pod zarządem polskim nabrały w opinii całego Śląska takiego rozgłosu, że wielu takich pracowników się znajdowało, co marzyło o dostaniu się do nich”. Identyfikacja robotników z fabryką zdecydowała o zlikwidowaniu sabotażu, do którego posuwali się Niemcy. „Rozpoczęło się – pisał profesor – sypanie piasku do panewek motorów, co spowodowało zacieranie się osi. Po tym następowały różne uszkodzenia elektryczne, a udało się nawet sabotażystom spowodować wybuch w młynie karbidowym, który nie pociągnął za sobą na szczęście ofiar”. Gdy Mościcki odwołał się do załogi, dywersja ustała jak nożem uciął.

Fabryka rozkwitła i zaczęła przynosić zyski, od 1924 r. zakłady chorzowskie stały się najrentowniejszym przedsięwzięciem gospodarczym państwa, choć za Niemców przynosiły straty. W 1927 r. zysk wyniósł 15 mln zł. Kwiatkowski – wtedy już minister przemysłu i handlu – wspominał: „Do tego Chorzów nie ma kapitału rezerwowego, zaczął działać bez obrotowego, musi cały czas inwestować w nowe technologie, aby zapewnić konkurencyjność swoim produktom.

Panorama Zakładów
Azotowych w Mościcach
pod Tarnowem, lata 30.

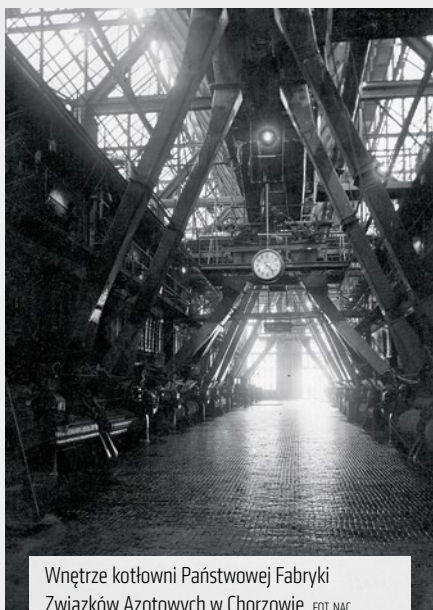
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Chorzowie i Mościcach

W 1927 roku zapłacił 1,4 mln podatków państwowych, do tego finansuje cały czas koszty procesu”. Podkreślał, że niewiele jest przedsiębiorstw państwowych i prywatnych gdziekolwiek na świecie zdolnych do uzyskania takich wyników.

Pomyślna sytuacja gospodarcza na świecie i w Polsce zdecydowała również o rozwoju naszego rolnictwa. Chłopi kupili w 1927 r. 210 tys. ton nawozów azotowych, popyt na nie rósł i nie wystarczała już produkcja chorzowska wynosząca 160 tys. ton nawozów rocznie. Rósł więc import. Dlatego 12 marca 1927 r. rząd zdecydował o budowie drugiej fabryki związków azotowych – pod Tarnowem, na nowym osiedlu nazwanym Mościcami. Prezydent wspominał w „Autobiografii”: „Minister Kwiatkowski powierzył budowę nowej wytwórni dr. Tadeuszowi Zwiśłockiemu. Zwiśłocki brał od samego początku udział w pracy nad uruchomieniem Chorzowa i kierował bardzo umiejętnie najwięcej czułym i trudnym do opanowania działem produkcji [...] był moim zięciem, więc wybór ministra nie bardzo mi dogadzał, jakkolwiek miałem jak najlepsze wyobrażenie o kwalifikacjach Zwiśłockiego. Chciałem uniknąć posądzenia mnie przez ludzi złośliwych o nepotyzm”. Cóż, zięć umarł w lutym 1929 r. z przepracowania...

Fabryka kosztowała ponad 100 mln zł, a dzięki własnej technologii



Wnętrze kotłowni Państwowej Fabryki
Związków Azotowych w Chorzowie FOT. NAC

mogła wytwarzać 182 tys. ton nawozów sztucznych rocznie. I wtedy nadszedł światowy kryzys, ceny żyta spadły ponad trzykrotnie, chłopi nie mieli pieniędzy na kupno nawozów i produkcja azotniaków stawała się nieopłacalna. Kwiatkowski – od 1931 r. dyrektor mościckiej fabryki – tak przedstawiał sytuację: „Z dwu alternatyw, a mianowicie wyrzeczenia się chwilowo wszelkich zysków przy niskich cenach produktów lub wyrzeczenia się wielu konsumentów przy cenach wysokich, wybraliśmy

zdecydowanie alternatywę pierwszą. Rozpoczęliśmy niespotykaną w innym dziale przemysłu w Polsce obniżkę cen i to nie dopiero wówczas, gdy w opinii publicznej podniesiony został krzyk o walkę z tzw. sztywnymi cenami, ale akcję tę podjęliśmy dobrowolnie i samodzielnie od roku 1930. [...] Wreszcie dla utrzymania konsumenta rozbudowaliśmy całkowicie zakład i możemy dostarczyć wszystkie zasadnicze gatunki nawozów azotowych w jakości bezkonkurencyjnej”.

Zakłady w Mościcach utrzymały się dzięki eksportowi po cenach dumpingowych: w 1931 r. fabryka sprzedawała za granicę 30 tys. ton – o 3 tys. ton więcej niż w kraju. Kolejne lata były coraz lepsze m.in. dzięki opracowywaniu własnych technologii produkcji oraz trafnym zakupom licencji zachodnich. 1 sierpnia 1933 r. Kwiatkowski połączył zakłady w Mościcach i Chorzowie, a pięć lat później zysk tego koncernu zbliżył się do 9 mln zł. W maju 1938 r. Mościce – przynoszące większość zysku – zatrudniały 3,3 tys. osób, w tym tysiąc pracowników sezonowych, i tak nie mogąc nadążyć z zamówieniami napływającymi z kraju i z 60 państw świata. Z oczyszczalnią ścieków i elektrownią o mocy 60 MW Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościcach stała się istotnym elementem Centralnego Okręgu Przemysłowego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Dworzec Morski w Gdyni z jednym z naszych największych transatlantyków przy nabrzeżu
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Miasto i Port Gdynia



Maciej Rosalak

„Będziemy budowali nie tylko dlatego, że tego wymaga prestige Polski, obronność, samodzielność gospodarcza, bilans handlowy. Będziemy budowali i dlatego, że kapitał inwestowany w żegludze morskiej jest bardzo mały w stosunku do usług, jakie żegluga oddaje gospodarstwu narodowemu...”

Tę celną uwagę o konieczności budowy własnego portu oraz floty handlowej umieścił w „Sztafecie” Melchior Wańkowicz. Idea ta przyświecała polskim posłom, którzy 23 września 1922 r. uchwalili ustawę upoważniającą rząd „do poczynienia wszelkich niezbędnych zarządzeń celem wykonania budowy portu w Gdyni na Pomorzu jako portu użyteczności publicznej” oraz postanowili, że „kredyty niezbędne do budowy portu będą co roku wstawiane do budżetu”.

Ustawa pozostawała jednak martwą literą do 1924 r. z powodu inflacji i dopiero po reformie Grabskiego (wprowadzenie emisyjnego Banku

Polskiego i stabilnego złotego) uchwalono zaciągnięcie kredytu oraz poszukano wykonawców robót portowych. Niestety, francusko-polskie konsorcjum jako główny wykonawca okazało się kosztownym, ale bezproduktywnym pośrednikiem w kontaktach z innymi firmami francuskimi, które na ogół były nieprofesjonalne, mało wydajne i nie dotrzymywały terminów. Bałagan w finansowaniu i prowadzeniu przedsięwzięcia pogłębiły dodatkowo od 1925 r. niemiecko-polska wojna celna i odmowa załadunku polskiego węgla ze strony portu w Wolnym Mieście Gdańsku podczas strajku angielskich górników.

Główna zasługa Eugeniusza Kwiatkowskiego polegała nie tyle na wspieraniu samej idei budowy polskiego pełnomorskiego portu, ile na konkretnym, błyskawicznym i celowym działaniu, gdy tylko został po przewrocie majowym ministrem przemysłu i handlu. Zerwał on dotychczasową umowę z francuskim konsorcjum i zastąpił ją całkiem odmiennym porozumieniem. Strona polska regulowała odtąd należności gotówką w miarę postępu prac. Przebiegały one wedle ustalonego wcześniej harmonogramu, a za przedterminowe ukończenie kolejnych etapów inwestycji przyznawano premie. Sprawdzono renomowane specjalistyczne firmy, choćby belgijską Ackermans en van Haaren z Antwerpii oraz duńską Højgaard-Schultz z Kopenhagi. Oba przedsiębiorstwa weszły w 1930 r. w skład konsorcjum – wraz z polskimi firmami Biuro Budowlane F. Skąpski i S-ka oraz Inżynierowie SA. Przyniosło to znakomite efekty. Wańkowicz zachwycał się pod koniec lat 30.:

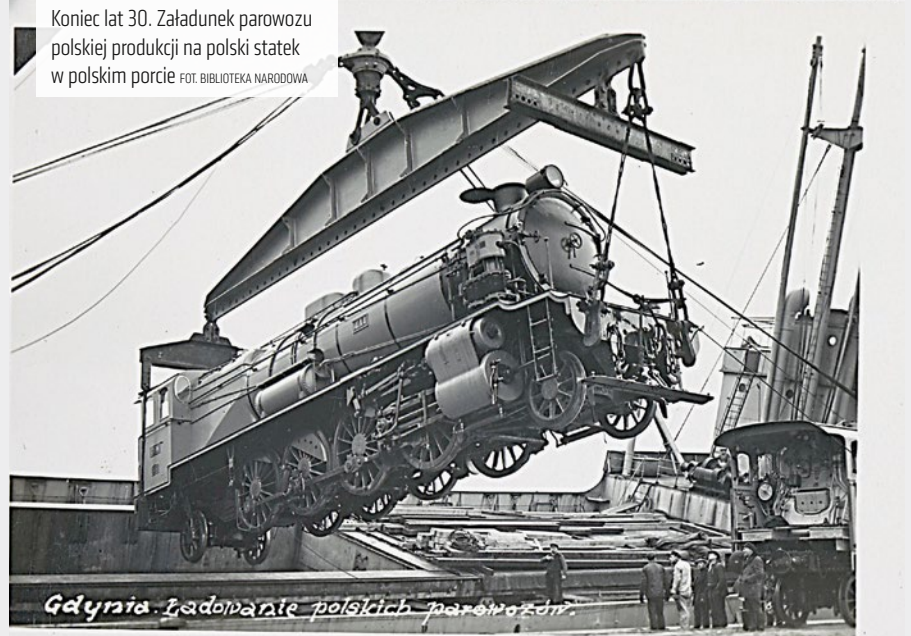
„Teraz, gdyby Żeromski żył, zaprowadzilibyśmy go na owo miejsce, na którym, pamiętam, droga piaszczysta zakręcała koło kilku checzy kaszubskich, między kilku niezajęzycznymi drzewinami. I pokaza-

libyśmy nabrzeża długości 12 kilometrów i baseny o obszarze 320 ha, przystosowane do przyjmowania największych transatlantyków. Składy żelbetowe, składy olbrzymy, rozpięające się na 217 000 metr kw.; chłodnię największą w Europie na 1200 wagonów; elewator na 15 000 ton; 75 dźwigów, przerzucających 7500 ton na godzinę, wielkie dziedziiny portu, całe jego krainy, przeznaczone każda na inny przeładunek: eksportowego węgla i importowego złomu, rudy, przemysłu rybnego...”

Dodajmy, że port, w którym w 1938 r. przeładowano 9,3 mln ton ładunków, wyprzedził pod tym względem m.in. Bremę (7,5 mln ton), Kopenhagę (6,3 mln ton), Rygę, Sztokholm, Neapol. Do Rotterdamu (42,3 mln ton) oraz Hamburga (25,3 mln ton) jeszcze sporo brakowało, ale tamte wielkie porty powstawały znacznie dłużej, a i rozmiary bieżących inwestycji na ich rozbudowę przekraczały jeszcze polskie możliwości.

Pierwszym polskim armatorem – państwowym, a następnie z większościovym udziałem państwa – była założona w 1926 r. Żegluga Polska, na której czele stanął inżynier budowy okrętów Julian Rummel. Natomiast pierwszymi zakupionymi w 1927 r. we Francji statkami były niewielkie (po około 3 tys. ton nośności) masowce: SS „Wilno”, SS „Kraków”, SS „Toruń”, SS „Poznań” i SS „Katowice” (skrót „SS” oznacza steam ship – statek parowy; natomiast „MS” – motor ship). W 1939 r. Żegluga Polska posiadała 20 statków handlowych oraz wycieczkowych. Mniej statków (osiem w sierpniu 1939 r.), ale za to na ogół większych, transatlantycznych „pasażerów” motorowych, miały Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe (Gdynia-America Line, w skrócie GAL). Podziw budziły zwłaszcza MS „Batory” i MS „Piłsudski” o tonażu ponad 14 tys. BRT każdy. Kapitanem tego ostatniego został wspaniały nawigator floty carskiej z czasów wojny, dowodzący potem w wolnej ojczyźnie szkolnymi żaglowcami i coraz większymi statkami pasażerskimi – Mamert Stankiewicz. Ów słynny „Znaczy Kapitan” z niezapomnianych opowiadań wspomnieniowych Karola Borchardta ożywia wyobraźnię kolejnych pokoleń...

Przedwojenne polskie społeczeństwo było niezmiernie dumne z pięknej, imponującej Gdyni oraz ze swej Marynarki Wojennej i Marynarki Handlowej. I słusznie, tak naprawdę po raz pierwszy w dziejach stawaliśmy się narodem i państwem morskim. Pamiętajmy przy



tym, że tonaż naszych wszystkich statków handlowych wynosił w dniu wybuchu wojny 143 671 BRT, a załogi kilkudziesięciu statków handlowych i pasażerskich liczyły około 3 tys. osób. Porównajmy to z jednym tylko, wodowanym w 1938 r. supertransatlantykiem brytyjskim „Queen Elizabeth”: 83 637 BRT i ponad 1100-osobowa załoga. Czyli dwie takie „Królowe Elżbiety” miały większą pojemność niż cała Polska Marynarka Handlowa, trzy zatrudniały zaś więcej kadry na pokładach.

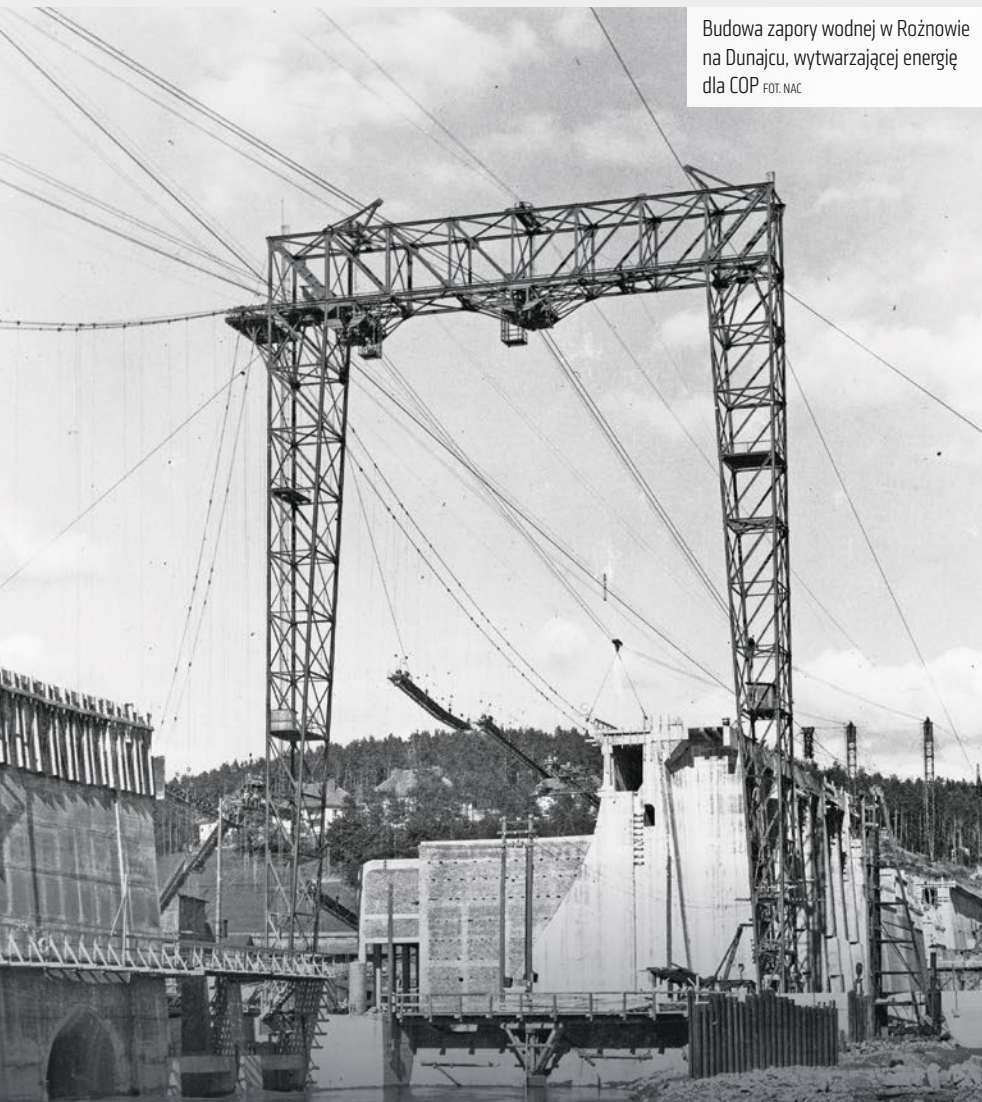
Kredyty i kontrakty zawierane od połowy lat 20. z Francuzami (niezbyt szczęśliwe), a następnie z Brytyjczykami pozwoliły w końcu lat 30. na wystawienie floty wojennej – małej wprawdzie, ale mogącej podołać zadaniom walk na Bałtyku, zwłaszcza w przypadku konfliktu z Sowietami. Polską Marynarkę Wojenną tworzyły głównie we wrześniu 1939 r. niszczyciele ORP (Okręty Rzeczypospolitej Polskiej) „Wicher” i „Burza” (produkcji francuskiej) oraz zamówione w Anglii duże niszczyciele „Grom” i „Błyskawica”, okręty podwodne „Ryś”, „Wilk” i „Żbik” oraz (większe) „Sęp” i „Orzeł”, kilka zbudowanych już w kraju trałowców (zastąpiły złomowane niemieckie), parę kutrów i stawiacz min „Gryf”.

I na koniec jeszcze raz Wańkowicz w poruszającej frazie o Polsce i morzu:

„Kiedy w 1920 r. granice lądowe nagle wrogo się zamknęły dla przywozu broni, a statków z amunicją nie chciały wyładować Gdańsk, gdzie była nasza Niepodległość? A kiedyśmy po wojnie bolszewickiej chcieli wejść w rodzinę ludów i postanowiliśmy sprzedać pierwszych 100 000 ton cementu, a obce linie okrętowe, pod wpływem cementowni zagranicznych, nie chciały go zafrachtować, a my nie mieliśmy swoich okrętów – gdzie była nasza Niepodległość? A kiedyśmy wykorzystali koniunkturę węglową i weszliśmy w 1926 r. na rynek światowy, a armatorzy obcy prawem silniejszego dobili po półtora szylinga na tonie, tak że w 1926 r. niepotrzebnie nadpłaciliśmy 7 740 000 zł – gdzie była nasza Niepodległość?...”

I wówczas to poczęło się z naszej strony. Poczęło się dzieło cudowne, przemysłne, ciągłe, nieprzerwane, zgodne, mądrzejsze niż przemijające rządy, mądrzejsze niż skłó-

ceni ludzie, dzieło instynktu. To wówczas kazano okrętom cudzoziemskim podchodzić ku Gdyni i na morzu, bez falochronu, wyładowywać w barkasy. To wówczas nad fale morskie rzuciono pierwszy wątył prowizoryczny pomost drewniany na palach, to wówczas pociągnięto kolej ku Helowi i poczęto się rozglądać, gdzie budować port...”



Budowa zapory wodnej w Rożnowie na Dunajcu, wytwarzającej energię dla COP. FOT. NAC

Centralny Okręg Przemysłowy



Maciej Rosalak

„Przesuwamy się wzdłuż maszyn wierzących, heblujących, tnących. W oczach naszych bloczki stali przybierają formy trybów, dźwigów, kółek, suwaków, które pójdą w świat i będą pracowały po najmniejszych warsztatach, do których prądu dostarczy Rożnów, gazu rurociąg – będą wypełniały głodną maszyn Polskę...”

Tak pisał o fabryce obrabiarek w Rzeszowie Melchior Wańkowicz w swej słynnej „Sztafecie”. Własny przemysł zbrojeniowy, ograniczenie bezrobocia, odbudowa gospodarki po kryzysie ekonomicznym – oto przesłanki wielkiego planu inwestycyjnego w Polsce końca lat 30. Wdrażał go wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski już od 1936 r. Natomiast rok później w jego ramach umieścił projekt Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pomysłodawcami byli bracia Kosieradzcy: Władysław – prawnik i ekonomista z Uniwersytetu Warszawskiego, oraz Paweł, profesor nauk technicznych pracujący w warszawskiej Fabryce Karabinów. Szczegółowego opracowania dokonali wraz z Kwiatkowskim. Zdaniem Jana Nowaka-Jeziorańskiego rola Kwiatkowskiego polegała „na ocaleniu i umocnieniu niezależności gospodarczej, bez której Polska nie mogła się ostać jako niepodległe państwo”.

Projekt COP pobudzał wyobraźnię społeczeństwa. Oto na terenach rolniczych Sandomierszczyzny, Lubelszczyzny, Kielecczyny i Podkarpacia, wyraźnie zapóźnionych gospodarczo w porównaniu z ziemiami dawnego zaboru pruskiego, miały powstać zapory wodne i elektrownie oraz dziesiątki fabryk dających zatrudnienie i produkujących różnorodne maszyny oraz broń potrzebną armii. Wstępny podział na Kielecczynie dającą surowce, Lubelszczyznę zapewniającą aprowicację oraz Sandomierszczyznę, gdzie właśnie w widłach Wisły i Sanu miały wyrosnąć zakłady przemysłowe, wyraźnie zatarł się podczas realizacji. Przykładowo w Radomiu rozbudowano fabrykę broni, a w Lublinie powstawały samoloty. W każdym razie ów okręg leżał w centrum państwa, możliwie oddalony od bezpośredniego zagrożenia ze wschodu i z zachodu, a zamieszkiwała go – co też nie było bez znaczenia dla jego bezpieczeństwa – ludność etnicznie polska.

Wicepremier Kwiatkowski uzasadniał przeznaczenie odpowiednich funduszy na rzecz COP w słynnym przemówieniu 5 lutego 1937 r. na posiedzeniu Sejmowej Komisji Budżetowej. Zaznaczył m.in., że Polska przeznaczy na inwestycje 27,5 proc. budżetu – wyraźnie więcej od innych krajów europejskich (Francja i Czechosłowacja – po 19 proc., Belgia – 20 proc., Włochy – 15 proc., a Austria – niecałe 4 proc.). „Wyraźnie więc przechodzimy – oświadczył Kwiatkowski – z formy pasywnej i konsumpcyjnej wydatków państwowych na podwyższanie części twórczej i inwesty-

cyjnej”. Ciekawe są argumentacja przemawiająca za uchwaleniem czteroletniego planu budowy COP (przede wszystkim zbrojeniowego) oraz planu rocznego („bardziej gospodarczego”) i przedstawiona pod koniec przemówienia pewnego rodzaju wizja przyszłości, jaką powinna wybrać Polska:

„Można, oczywiście, wywołać szereg wątpliwości i kwestii związanych z tymi projektami. Można twierdzić, iż troskę o podstawowe inwestycje można by całkowicie pozostawić prywatnej inicjatywie, gdyby tylko zapewnić jej trwałą i solidną rentowność. Można by sprzeciwiać się samej idei planowania i harmonizowania inwestycji w takim rozmiarze. Można by badać i odrzucać projekty inwestycji nierentownych albo pozornie nierentownych, czyniąc z tej zasady główne kryterium. Można usiłować przerzucać kwoty z jednej pozycji na drugą. Można też skoncentrować uwagę na wątpliwościach natury formalnoprawnej. [...]”

Ale istota rzeczy pozostanie zawsze w tym, że projektowane prace i cele dojrzały już jako konieczność polityczno-gospodarcza i konieczność socjalna współczesnej Polski. Musimy pozytywnie, spokojnie, z męską decyzją pokonywać coraz większe trudności, jeżeli naprawdę cenimy zdobytą wolność i całość. W bezwładzie i w kryzysie wiecznie żyć nie można. Mamy pełną świadomość wagi zagadnienia obrony, zmobilizowanej przez cały Naród. Mamy świadomość, iż musimy uleczyć ostatecznie wszystkie głębokie rany i wszystkie choroby, które powstały w okresie długotrwałej niewoli i rozdarcia. Musimy tworzyć trwałą i mocną więź pomiędzy jedną dzielnicą Polski i drugą, pomiędzy Państwem i obywatelem, pomiędzy gospodarstwem i Narodem”.

Obiekty COP powstawały w zawrotnym tempie. Plan inwestycyjny z 1936 r. wykonano już w marcu 1939 r. – cały rok przed terminem. Wydano wtedy do 2,8 mld zł, przy czym udział Skarbu Państwa wyniósł ponad 70 proc., udział kapitału zagranicznego nie przekraczał zaś 5 proc. Inwestycje wojskowe kosztowały ponad 780 mln zł. Budowa obiektów COP pochłonięła od 1937 r. 60 proc. wydatków inwestycyjnych, przy czym najwięcej wydano na infrastrukturę: drogi, koleje, linie energetyczne, rurociągi, bez których uruchomienie fabryk byłoby niemożliwe.

A realizowano wtedy tak wielkie przedsięwzięcia jak budowa zapory i elektrowni wodnej w Rożnowie na Dunajcu.



Bombowiec PZL-37 „Łoś” – jedna z udanych konstrukcji naszego przemysłu zbrojeniowego. FOT. NAC



Wnętrze hali montażowej w Lublinie. Widoczny szkielet samolotu oraz – z prawej – silnik gwiazdowy. FOT. NAC

Zaporę na Sole ukończono w 1937 r. (według projektu Gabriela Narutowicza) i stworzono Jezioro Międzybrodzkie, ale na elektrownię nie wystarczyło już przed wojną czasu (ukończono ją w latach 50.). Wielką inwestycją było wzniesienie i uruchomienie huty oraz miasta Stalowa Wola. Budowę rozpoczęto w 1938 r., a otwarcie nastąpiło w czerwcu roku następnego! Huta produkowała stal szlachetną, sprzęt rolniczy oraz wojskowy. Wańkowicz pisał z uniesieniem w „Sztafecie”, że w Stalowej Woli otrzymuje się: „stal walcowaną, prasowaną, kutą, narzędziową, konstrukcyjną... Stal o współczynniku rozszerzalności ograniczonym – takim jak aluminium, z którym ta stal współpracuje – np. w gniazdach zaworowych. Stale o najwyższych wymaganiach, obsługujące różnorodne potrzeby – od spinki do samo-



Pistolet VIS. FOT. MWP

chodu. Stal ta będzie przybywać kanałami ze Śląska, a, da Bóg, z terenów COP-u, na których obecnie badamy pokłady rudy. 50–60-kilowe »gęsi« żelaza, zastygłe w drążonych w wilgotnym piasku »kopytach«, chropawą szlaką

obrosłe, tu będą wyładowywane z barek, tu będą się reinkarnować w stal. Tę stal stąd będą otrzymywać wszystkie zakłady w COP-ie i w całej Polsce...”

Część budowanych wtedy fabryk należała do Państwowych Zakładów Lotniczych. W Mielcu powstała Wytwórnia Płatowców, w Rzeszowie – Wytwórnia Silników, w Lublinie zaś – Wytwórnia Samolotów. Spośród ponad 60 zakładów przemysłowych COP, które wtedy budowano i których część zdążono ukończyć przed wojną, wymieńmy jeszcze choćby: Wytwórnę Obrabiarek w Rzeszowie, fabryki amunicji w Skarżysku, Dąbrowie-Borze, Jawidzu i Dębie, Fabrykę Materiałów Wybuchowych w Pustkowie, Państwową Wytwórnę Materiałów Kruszących w Pionkach, Zjednoczone Fabryki Maszyn, Kotłów i Wagonów w Sanoku, rozbudowę Zakładów Zbrojeniowych w Starachowicach i Państwowej Wytwórni Broni w Radomiu oraz Zakłady Chemiczne w Nowej Sarzynie. Niektóre z tych zakładów wykorzystywali okupanci niemieccy, w PRL odbudowywano je i włączano do gospodarki planowej, a część przetrwała nawet tzw. transformację ustrojową i kwitnie nadal, tyle że w obcych rękach.

MACIEJ ROSALAK: Malowano dwa skrajnie odmienne obrazy II Rzeczypospolitej Polskiej. Na pierwszym widzimy zacofane pod każdym względem państwo skazane na zagładę przez nieodpowiedzialne rządy. Na drugim – dynamicznie rozwijający się kraj zniszczony przez spisek Hitlera ze Stalinem przy biernej postawie sojuszników. Który z tych obrazów bardziej odpowiada rzeczywistości?

PROF. ANDRZEJ CHOJNOWSKI: Nie wiem, czy istnieje nadal wizerunek takiego całkowicie nieudanego państwa. Wydaje mi się, że nie przetrwał on do naszych czasów. Oczywiście niegdyś go kreowano, zwłaszcza na zewnątrz, a nie w samej Polsce. Spotykaliśmy się więc z sowieckim określeniem „bękart wersalski” i niemieckim „państwo sezonowe”, ale wśród wewnętrznych przeciwników politycznych nie było raczej osób aż tak jaskrawo stawiających sprawę. Skrajna krytyka II Rzeczypospolitej należy już do przeszłości.

Natomiast podkreśla się chętnie dynamizm rozwoju II RP w wielu dziedzinach, co nie oznacza jednak, że wszystkie problemy, z jakimi przyszło się borykać, zostały rozwiązane. Wynikało to z obiektywnych okoliczności – państwo było przede wszystkim za biedne, aby się w pełni modernizować. Modernizacja wymaga bowiem nie tylko ludzkiej energii, lecz także pieniędzy na budowę dróg czy rozwój oświaty, a tych Polska nie miała. Popelniano też błędy, nawet nie wynikające ze skrajnej głupoty lub złej woli, ale z nie trafionych wyborów. Jeżeli na przykład wybrało się – zamiast zakupów na zewnątrz – produkcję własnej broni, a nie miało się już pieniędzy, by nabywać działa czy samoloty, to trzeba było je sprzedawać za granicę, by zakłady nie splajtowały.

Trudno jednak o sprawiedliwą ocenę poczynań naszych władz, bo państwo trwało zbyt krótko, aby wszystkie plany i działania przyniosły owoce. Niezależnie od przedsięwzięć nieudanych absolutnie nie można powiedzieć, że państwo nie wykorzystało szans, jakie dało nam odzyskanie niepodległości.

Siłą rzeczy nasuwa się porównanie tamtego dwudziestolecia z latami, jakie upłynęły od 1989 r. Po międzywojniu jak świetliste punkty pozostały: Gdynia, COP, chorzowskie i tamowskie Azoty, linie kolejowe oraz sprawne PKP, a także reforma finansów publicznych Władysława Grabskiego. A czym my się możemy pochwalić, biorąc na przykład pod uwagę podobnie długi okres, czyli lata 1989–2010? Likwidacją stoczni i cukrowni oraz długiem publicznym? To prawda, że porównywanie tak różnych epok nie jest w pełni uprawnione, ale weźmy choćby punkt wyjścia.



O zestawieniu II Rzeczypospolitej z III Rzeczpospolitą z prof. Andrzejem Chojnowskim
rozmawia Maciej Rosalak

Różnica epok i kłopotów



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W latach 1918–1920 kraj pozostawał rozdarty stuleciem rozbiorów, a także straszliwie zniszczony I wojną światową oraz wojną bolszewicką. Na przykład ponad połowa mostów i stacji kolejowych nie nadawała się do użytku. W 1989 r. materialnych zniszczeń nie było. Czy w takim razie ludzie zawiedli? Brak wyobraźni, odpowiedzialności, poczucia misji?

Słusznie powiedział pan o różnicy epok i kłopotach z porównaniami. II Rzeczpospolita musiała oczywiście naprawić zniszczenia wojenne, rozprawić się z całym politycznym i infrastrukturalnym spadkiem po rozbiorach, ale nie musiała – tak jak my – przechodzić w inny wymiar systemowy. To była kontynuacja systemu gospodarczego, który istniał w drugiej połowie XIX w. Nie był wtedy potrzebny tak zasadniczy eksperyment ustrojowy, jaki trzeba było przeprowadzić po 1989 r. Nas czekała konieczność demontażu poprzedniego systemu, zarówno w świadomości społecznej, jak i na polu materialnym. Mówi pan o nieodzowności budowy zniszczonych podczas I wojny światowej mostów. Inaczej się to przedstawiało w ostatnim dwudziestolecu, kiedy odziedziczyliśmy archaiczne technologicznie i organizacyjnie obiekty przemysłowe, które niekiedy należało właściwie rozebrać, żeby na ich miejscu wybudować nowe.

Po 1918 r. mogliśmy podążać starą drogą, jedynie intensyfikując działania, wzbogacając je o własne pomysły i energię. Pomagała świadomość, że teraz jesteśmy wreszcie u siebie i wszystko możemy czynić na własną odpowiedzialność. I stał ta zasadnicza różnica nastrojów. Jeżeli nawet w 1989 r. znaczna część rodaków cieszyła się, że nareszcie upadł komunizm, to oczekiwania w dziedzinie gospodarki były raczej mgliste. Niektórzy spodziewali się, że teraz po prostu zapanuje raj, inni nie wiedzieli, co nastąpi i co należy czynić. Czy trzeba na przykład zburzyć wszystko, co pozostało po PRL, i budować od nowa... W 1918 r. tego typu rozterek nie było. Polacy wiedzieli, że uda się zrobić to, co zależy od naszych możliwości, od naszego zapału, natomiast nie żywili obaw, że przystąpimy do jakiegoś eksperymentu, który jest wielką niewiadomą. Pod względem ustroju politycznego i gospodarczego droga wydawała się prosta. W latach 1918 i 1989 stawaliśmy przed różnego rodzaju dylematami.

Istnieje jednak wspólny mianownik, który łączy obydwie epoki – brak kapitału polskiego. Przed niemal stuleciem państwo radziło sobie w ten sposób, że samo stawało się inwestorem, a następnie właścicielem i zarządcą przedsiębiorstw. Interwencjonizm



Warszawa 1931 r. Otwarcie linii lotniczej Warszawa

– Bukareszt. W środku stoi minister Kwiatkowski. FOT. NAC

państwa i etatyzm wspaniale zdawały egzamin; tak było przy wszystkich wymienionych wcześniej przeze mnie inwestycjach. Wedle pomysłu, który dominował po 1989 r., wszystko należało jak najszybciej sprzedać w ręce kapitału zagranicznego oraz polskiego, często szemranego. Która droga jest więc słuszna?

Brak kapitału jest istotnie polskim problemem całego XX w. I rzeczywiście II Rzeczpospolita, w której nie było Rockefellerów, została niejako zmuszona do interwencjonizmu. Wprawdzie Eugeniusz Kwiatkowski, inicjator największych inwestycji państwowych, nieco hamował interwencjonizm, zwłaszcza w polityce walutowej, i nie poszedł – jak III Rzesza – w kierunku napędzania koniunktury inflacją, jednak mało kto dziś sobie zdaje sprawę, jak bardzo nasze państwo było zetetyzowane...

Ale to świetnie działało!...

Być może, niemniej trzeba stwierdzić, że ten kierunek rozwoju nie został dostatecznie zweryfikowany przez upływ czasu. Do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego przystąpiono po 1935 r. Rok 1939 przerwał ten eksperyment i nie wiemy, czy nie zostałyby skażony dolegliwościami, które cechują gospodarkę państwową. Czy przedsiębiorstwa wykazałyby rentowność. Czy pracownicy osiągnęliby wysoki poziom wydajności...

Już w latach 20. przejęte przez państwo od Niemiec chorzowskie Azoty, połączone później z nowo wybudowanymi Azotami tarnowskimi, osiągnęły największą w kraju rentowność...

Pozostają jednak pytania, na które możemy odpowiedzieć, jedynie gdybając.

COP na przykład zaczął borykać się z problemami wynikającymi z całej struktury gospodarczej kraju. Nie mógł wykorzystać mocy produkcyjnych, nie znajdując zbytu. Państwo mogło wyłożyć pieniądze na budowę zakładów, ale nie wystarczało mu na kupowanie produktów. I właśnie tuż przed wojną dochodziło do paradoksalnej sytuacji, że armia polska cierpiała na brak uzbrojenia, choć fabryki zbrojeniowe mogły to uzbrojenie wyprodukować.

Oczywiście ma pan rację, że droga, którą Polska wybrała, okazała się całkiem sensowna, tylko że później idea etatyzmu została całkowicie skompromitowana w czasach komunistycznych. Dla tych, którzy podejmowali decyzje po 1989 r., zwłaszcza dla liberałów, to, co państwowe, stało się symbolem czegoś absurdu, niegospodarności i fikcji gospodarczej. I właśnie wtedy nie doceniono doświadczeń okresu międzywojennego (tu wymieniam się najczęściej Leszka Balcerowicza), choć niektórzy (tak jak Jacek Kuroń) o tych doświadczeniach myśleli. Interwencjonizm państwa nie wynika bowiem z konieczności rozwiązywania problemów tylko gospodarczych, lecz także społecznych. Państwo tworzyło przed wojną nowe miejsca pracy, aby ograniczyć bezrobocie i stwarzać alternatywę cierpiącym na głód ziemi na wsi. Demontażowi dużych zakładów pracy po okresie komunizmu nie towarzyszyła zaś troska o los zwalnianych pracowników. Przeświadczenie, że dzięki odprawom zaczną oni zakładać własne firmy i z takich małych kawałków powstanie następnie nowy system gospodarczy, okazało się chybione.



Polska produkcja zbrojeniowa. Czołg 7TP. FOT. NAC

Armaty przeciwlotnicze 75 mm. FOT. NAC

Przyczyn niepowodzeń tzw. transformacji ustrojowej należy szukać w zaniku honoru, uczciwości, odpowiedzialności. Przed wojną wybuchło parę głośniejszych afer, ale przecież nie wystąpiło zjawisko korupcji na taką skalę jak w latach 90. Wrócili – a nie wyjeżdżali z kraju! – świetnie wykształceni ludzie o najwyższych kwalifikacjach zarówno zawodowych, jak i moralnych. Na przykład Ignacy Mościcki, opluwany przez lata PRL symbol wszyściego, co najgorsze, w sanacji był znakomitym uczonym i organizatorem, który poprowadził do sukcesu nasz przemysł azotowy. Co ciekawe, miał podporę w zięciach. Tadeusz Zwisłocki, również uczonego chemik, uruchomił tarnowskie Mościce (umarł w 1929 r. z przepracowania!). Aleksander Bobkowski, wiceminister kolejnictwa i światowej sławy miłośnik gór, zainicjował budowę kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Według polskiego projektu zbudowali ją polscy technicy i górale w siedem miesięcy, i to jesiennych oraz zimowych! Działa nadal. Gdzie są dziś tacy ludzie?

Na pominięcie doświadczeń międzywojennego interwencjonizmu państwowego nałożyły się zarówno klęski gospodarcze komunizmu, jak i zlekceważenie doświadczeń części zachodniej Europy, gdy odchodzono od założenia, że wszystko, co państwowe, musi być złe w gospodarce. Etatyzm komunistyczny wypływał z przesłanek ideowych, toteż elementy wolnego rynku, które pozostają przecież obecne nawet w tych państwach kapitalistycznych, w których upaństwowiono częściowo gospodarkę, w komunizmie zostały zniszczone. Prowadziło to do powstania systemu fikcji gospodarczej,

z odgórnym narzucaniem wziętych z sufitu cen itd. Część społeczeństwa nauczyła się w tym absurdzie żyć i wykorzystywać go na swoje potrzeby. Wytworzył się typ człowieka zwany homo sovieticus.

To, co faktycznie stanęło w 1989 r. jako problem społeczny, było koniecznością zmiany tego typu mentalności i powrotu do wartości oraz zasad, które towarzyszyły od wielu dziesięcioleci ludzkiej gospodarności. Tymczasem ów problem pomijano, zakładając, że automatycznie sam się rozwiąże, bo ludzie szybko nauczą się w nowym ładzie nowego sposobu postępowania. A tu się okazało, że taki automatyzm bynajmniej nie występuje...

... i homo sovieticus nauczył się być krętaczem w systemie kapitalistycznym.

Okazało się też, że zysk nie jest jedynym motorem ludzkiego postępowania, co zakładał marksizm; że występują inne potrzeby, zwłaszcza w aspekcie kulturowym. Rzucenie ludzi na głęboką wodę nie zadziałało. Zaniechano przy tym misyjnej działalności państwa, zminimalizowano obowiązki państwa wobec obywateli, pozostawiono ludzi samym sobie. A przecież nigdzie do końca tak się w Europie nie dzieje. Liczne kraje na Zachodzie osiągnęły znaczny poziom rozwoju właśnie dzięki udziałowi państwa w przedsięwzięciach gospodarczych i społecznych.

Zapomniano o międzywojennym interwencjonizmie państwa, który nie był przecież żadną fanaberią, ale koniecz-

nością wynikającą z sytuacji. Być może zresztą gdyby po pewnym czasie przestał pełnić swoją funkcję, państwo by od niego odeszło. Z pewnością odegrał on jednak pozytywną rolę.

Myszę, że na ujemne zjawiska, z jakimi mamy dziś do czynienia, wpływają dwa odmienne mity założycielskie. Przed niemal wiekiem była to zwycięska wojna z bolszewikami, poprzedzona chwalebными dokonaniami militarnymi Legionów Józefa Piłsudskiego, POW oraz dyplomacją Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego na Zachodzie. Mit autentycznego Polaka zwycięzcy. Po II wojnie światowej mamy przerażający mit kłamstwa katyńskiego i rzekomo wygranych przez komunistów wyborów 1947 r. (w rzeczywistości sfałszowanych) jako legitymizację ich władzy. Po Polsce Ludowej z tym mitem nie rozprawiono się w sposób dostatecznie dobitny. W efekcie III RP odziedziczyła legendy formacji prosowieckiej...

Odniosę się do tego na trochę innej płaszczyźnie. Z pewnością nasze państwo powstawało po I wojnie światowej w atmosferze triumfu. Oto zwyciężyły marzenia! Wydawały się one przez ponad sto lat utopią i mrzonką, a jednak ziściły się... W ciągu pierwszych dwóch lat istnienia Polacy zdołali stworzyć państwo dostatecznie silne, aby odepchnąć zagrożenia od swych granic. Niezależnie od różnic politycznych, jakie występowały już w latach 1918–1920, większość Polaków podzielała dumę ze swego państwa.

Drugim czynnikiem niezmiernie ważnym po 1918 r. było to, że wskrzeszenia



Armata przeciwpancerna 37 mm (na licencji Boforsa) FOT. NAC



Samolot myśliwski PZL P.11c FOT. NAC

państwa dokonali marzyciele, którzy nie liczyli się ze wszystkimi okolicznościami czyniącymi ich przedsięwzięcie – wydawałoby się – daremnym. Stanowiący elitę w znaczeniu także ilościowym. To była mała grupka, ale odwołała się do mas, wciągnęła większość do dzieła odrodzenia państwa, zapowiadając natychmiast i błyskawicznie organizując wybory do Sejmu. Nie odkładano momentu decydowania społeczeństwa o swojej przyszłości, nawet licząc się z tym, że może nie jest ono w pełni do tego przygotowane i że odsunie od władzy ową grupkę marzycieli. Piłsudzcy przegrywali wszak w pierwszych wyborach.

Zgoda, po kilku latach dokonali oni korekty demokratycznego założenia, że większość ma rację, i przejęli władzę siłą, ale tuż po odzyskaniu niepodległości doszło do zaktywizowania całego społeczeństwa. Natomiast po 1989 r. elity były przeświadczane, że większość Polaków nie jest w stanie ocenić, co dla nich dobre, i same muszą podejmować najważniejsze decyzje. Uznano, że Polak jest skażony, zdemoralizowany komunizmem i niezdolny do wyrzeczeń. Nie powiedziano jasno, że przebudowa państwa będzie trudna i musi się wiązać z wysokimi kosztami i ofiarami ze strony społeczeństwa.

W 1920 r. nie wygralibyśmy z bolszewizmem, gdyby nie odwołanie się do narodu. Po 1989 r. elity okazały pychę i straciły kontakt ze znaczną częścią społeczeństwa. Stąd nawet rodzące się pomysły przeprowadzenia czegoś w rodzaju zamachu

stanu, wulgarnie mówiąc „wzięcia ludzi za mordę”, żeby wymusić na nich przejście do gospodarki wolnorynkowej.

Tylko Marszałka nie było w Sulejówku...

W istocie nie było przywódcy o dostatecznym autorytecie, który mógłby przeprowadzić tego typu rozwiązanie i pociągnąć za sobą większość obywateli.

W II RP dojrzewiali tacy ludzie jak Rogalski, Wigura i Drzewiecki, którzy dosłownie w piwnicy Politechniki Warszawskiej konstruowali pierwsze modele znakomitych samolotów sportowych RWD. Rosło nowe pokolenie, o którym Aleksander Kamiński napisze „Kamienie na szaniec”. Zanim wzięli broń do ręki w walce za ojczyznę, przejęci byli pracą dla niej, o czym dyskutowali zawzięcie na obozach harcerskich słynnej Pomarańczami. Może idealizuje, ale wydaje się, że było to najpiękniejsze, najlepsze pokolenie, jakie miała Polska kiedykolwiek przedtem i potem. I najokrutniej doświadczone przez dzieje...

Był to największy skarb, jaki pozostawiła po sobie II Rzeczpospolita. Zostawiła też głęboko zakorzenione przeświadczenie o ogromnym znaczeniu edukacji. Nie chodzi tylko, a nawet nie przede wszystkim, o korzyści materialne, jakie może przynieść wyższe wykształcenie, ale o wartość samą w sobie, jaką stanowi światły człowiek. To przeświadczenie nieśli ze sobą ludzie z pokolenia, które wchodziło w dorosłe życie w czasach II wojny światowej, wykształceni w szkołach średnich i wyższych niepodległej Polski. Powszechny był wówczas szacunek dla niektórych zawodów inteligenckich,

a zwłaszcza dla nauczyciela, wychowawcy kolejnych generacji. Nawet profesorowie wyższych uczelni szli uczyć w szkołach, aby jak najlepiej przygotować do życia i pracy ten skarb, jakim jest młodzież.

W okresie komunizmu, niezależnie od tego, że oświata stała się bardziej masowa, to przeświadczenie zabito. Ciekawe, że procent młodzieży chłopskiej studiującej na wyższych uczelniach był przed wojną wyższy niż po wojnie. I nie pomogły punkty za pochodzenie ani inne działania polityczne przy naborze na studia. Po prostu i pozycja materialna, i prestiż człowieka wykształconego, mającego do spełnienia pewne obowiązki, pewną misję w społeczeństwie, zostały zniwelowane.

Myślę, że pokolenie „Kamieni na szaniec” również dlatego z takim poświęceniem ruszyło do walki zbrojnej za ojczyznę, iż w rodzinach i szkołach przygotowane zostało do spełniania powinności wobec społeczeństwa. To przystoi człowiekowi wykształconemu.

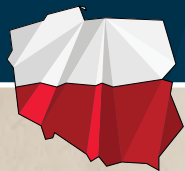
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Chojnowski – jest profesorem w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w latach 2003–2015 kierował Zakładem Historii XX Wieku. Pracuje też w Akademii Humanistycznej im. prof. Aleksandra Gieysztor w Pułtusku. Wchodzi w skład Rady Naukowej Polskiego Słownika Biograficznego, należy do Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Wydał m.in.: „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921–1939” oraz „Piłsudzcy u władzy. Dzieje Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem”.



PGZ

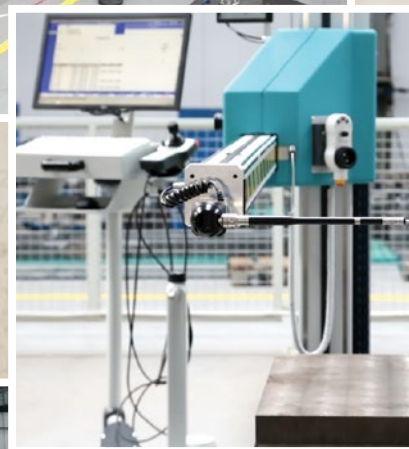
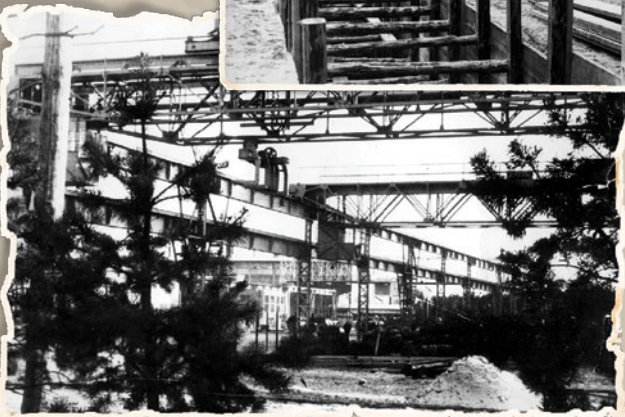
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Budowa Huty w Stalowej Woli 1939 r.

Nowoczesne Zakłady Huta Stalowa Wola, 2017 r.



STALOWA WOLA



Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

ODBUDOWUJEMY POLSKI PRZEMYSŁ OBRONNY

www.pgza.pl